Wydawnictwa rok VII.
Dnia 21 lipca 1929 roku.

Nr. 307

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

# GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

*Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej*

## ZATARG SOWIETÓW Z CHINAMI



## „GŁOS PRAWDY" LITERACKI



Redakcja: Warszawa, ulica Szpitalna 1, telefon 282-54.

# ZATARG SOWIETÓW Z CHINAMI

Wojna z Japonją ujawniła zgniliznę wewnętrzną caratu. Kolos rosyjski, przed którym drżały mocarstwa świata, okazał się niezdolnym do walki z pogardzaną przez niego małą Japonją. Legenda o jego potędze militarnej prysła. Pogrom w Mandżurji był wstępem do rewolucji roku 1905. Dalszy bieg wypadków w imperjum rosyjskiem był już tylko staczaniem się po pochyłej płaszczyźnie rozkładu, który doprowadził z żelazną konsekwencją do katastrofy w wielkiej wojnie europejskiej i do przewrotu bolszewickiego.

Czy i Sowiety zechcą zaryzykować wojnę na Dalekim Wschodzie? Nie chodzi tu tylko o zatarg z Chinami. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wkroczenie wojsk sowieckich do północnej Mandżurji wywołałoby zbrojną interwencję Japonji od południa i nieuniknione starcie rosyjsko - japońskie.

Wszystko przemawia za tem, że rząd moskiewski, mimo swej wyjątkowej dbałości o prestige mocarstwowy, nie puści się na tak awanturnicze eksperymenty, stawiając na kartę istnienie Sowietów, bo klęska jego w tej wojnie miałaby najprawdopodobniej te same skutki, co klęska armji cesarskich przed dwudziestu pięciu laty.

Zdają sobie doskonale sprawę z tego chińczycy. To też rząd nankiński nie przeraził się bynajmniej ultymatywną notą sowiecką, ani też wojowniczymi mityngami w Moskwie i innych miastach Z. S. R. R. Być może, są pomiędzy obecnymi władcami Rosji tacy, co wierzą, iż wybuch wojny rozpali entuzjazm narodowy mas rosyjskich, który się potem przeobrazi w entuzjazm rewolucyjny i płomieniami ogarnie całą Azję, a może nawet i inne części świata. Ale tacy fanatycy są napewno w mniejszości na Kremlu. Większość ich boi się wojny, jako końca panowania komunizmu.

Bo i o cóż mieliby chłopi i robotnicy Unji Sowieckiej walczyć w stepach Mandżurji? O sferę wpływów mocarstwowych, o kolej wschodnio - chińską, czy o prestige państwa, którego obywateli, a nawet emisarjuszów dyplomatycznych aresztują władze chińskie? Sfery wpływów rosyjskich w Mandżurji, którą zdobył imperjalizm carski, wyrzekł się uroczyście rząd sowiecki, uznając traktatem z r. 1924 zawartym w Makdenie, suwerenność Chin nad terenem kolei wschodnio - chińskiej.

Ten sam traktat ustalił kompromisowy zarząd kolei, pod wspólnem kierownictwem. Sowiety utrzymują, że Chiny traktat mukdeński pogwałciły, dokonywując bezprawnych rewizji w konsulatach rosyjskich i aresztując rosyjskich funkcjonarjuszów. Rządy nankiński i mukdeński tłomaczą się, iż aresztowani winni są szerzenia propagandy komunistycznej, co, oczywiście, nie należało do warunków traktatu. Zresztą, Sowiety miały sposobność przyzwyczaić się już do bezceremonjalnego traktowania swoich placówek dyplomatycznych przez władze chińskie. Czang-Tso-Lin postępował znacznie bezwzględniej z nimi, niż jego syn, a obecny władca Mandżurji, Czang-Su-Liang. A jednak, nawet po wkroczeniu żołnierzy Czang-Tso-Lina do gmachu poselstwa sowieckiego w Pekinie, nie zdecydowała się Moskwa na to, czem teraz grozi w swojej nocie.

To też groźby te chińczycy przyjmują z wielkim spokojem. Rozumieją oni doskonale, że Moskwa nie jest w stanie ich spełnić. Wojna Sowietów o prestige mocarstwowy wobec wyzwalających się Chin skompromitowałaby je ostatecznie w opinji międzynarodowego proletarjatu. A jeszcze większym absurdem byłaby wojna o kolej wschodnio - chińską, zbudowaną przez carat za pieniądze, pożyczone od bankierów francuskich. Kolej ta miała być jednym z ośrodków ekspansji imperjalistycznej carskiej Rosji. Dzieje jej są niezmiernie ciekawe, jako przyczynek do charakterystyki dyplomacji chińskiej, która umiała zręcznie wyzyskać krzyżujące się wpływy mocarstwowe na terenie Chin.

Po wojnie chińsko - japońskiej w r. 1894 - 1895 zwyciężone Chiny szukały pomocy u Rosji. Ich wielki mąż stanu Li-Cung-Czang postanowił otworzyć dla wpływów rosyjskich Mandżurję, by w ten sposób wywrzeć zemstę na znienawidzonym wrogu japońskim. Przewidział on, jako skutek tego, konflikt rosyjsko - japoński, który odwrócił niebezpieczeństwo rosyjskie od Chin. Mądrze zdyskontował on rywalizację tych dwóch potęg mocarstwowych na Dalekim Wschodzie, by wyciągnąć z tego jaknajwiększe korzyści dla bezbronnych Chin.

Rokowania o kolej wschodnio - chińską zakończyły się w r. 1896. Budowa została rozpoczęta w r. 1897, a zakończona w r. 1903. Finansowała ją Rosja z kapitałów przeważnie pochodzenia francuskiego. Koszt ogólny wynosił 350 miljonów rubli. Kolej ta wprawdzie utorowała drogę dla wpływów rosyjskich w północnej Mandżurji, lecz bardziej jeszcze wzmocniła tam element chiński, przyczyniając się do rozwoju gospodarczego tej najprymitywniejszej i przedtem prawie bezludnej prowincji państwa bogdychanów. Chiny zrobiły na niej znakomity interes, dla Rosji zaś stała się ona jedną z tych nęcących perspektyw opanowania Dalekiego Wschodu, które doprowadziły ją do nieszczęśliwej wojny z Japonją. A teraz mści się imperjalizm carów na bolszewikach, którzy zapragnęli w Chinach prowadzić starą rosyjską politykę mocarstwową przetłomaczoną tylko na język Trzeciej Międzynarodówki.

# SZULER KOLEKCJONEREM CNÓT

Wyobraźmy sobie iż szuler, przychwycony na oszustwie, w czasie odpokutowywania za swe nieprawości od czasu do czasu nabiera ochoty do kazuistyki i zapominając o swym podłym procederze, nawracać pragnie słuchaczy.

Nawracać — na co?

Trudno żądać, by szuler po smutnem doświadczeniu niecnego rzemiosła stał się wzorem cnót. Trudno żądać, by nie czuł on skłonności do dawnego towarzystwa, które dawało emocję, radość, a co najważniejsze — dostatek w najmaterjalniejszem tego słowa znaczeniu. Kiedy go pierwszy raz przychwycono na fałszerstwie, pierwszym odruchem jego myśli była złość na siebie, iż nie dopatrzył... Cóż może być przedmiotem mentorstwa szulera? Chyba tylko jednanie wspólników, zataczanie coraz szerzej wędki na naiwność i dość powszechną żądzę łatwego zysku bez pracy.

Gdy się patrzy na mentorstwo prasy endeckiej, gdy się czyta codzienne już teraz tasiemce „Gazety Warszawskiej", poświęcone „sanacji sanacji" — trudno się powstrzymać przed uśmiechem: szuler wygłasza kazania, szuler kolekcjonerem cnót obywatelskich, szuler niemal prokuratorem. I w tej nowej roli czuje się tak doskonale, iż wydaje mu się znowu, że niemasz ktoby się oparł jego kuszeniom. Albowiem w mentorstwie swem potrafi on dokonać przedstawienia szulerki jako zasługi, a rzetelność jako przewinę. Do takiego przemianowania wartości najłatwiej przeskoczyć, rzucając podejrzenia szeptając nieustannie o czemś, co być by mogło, choć nie było, co się wydaje, choć nie jest faktem. Gdy się wreszcie uda szulerowi z kimś uczciwym pokumać, to jest tak długo o nim mówić wobec wszystkich aż uwierzą, że coś ich tam jakoś łączy — przeskok, dokonany na oczach tysięcy obserwatorów, zapatrzonych w grę szulera, odbywa się bez przeszkód. Szuler skupił uwagę wszystkich na kim innym i na czem innem, odwrócił ją od siebie i swych djabelskich sztuczek — i liczy na to, że przeoczoną będzie jego przewrotność — iż darowane mu będą wszystkie występki ze względu na tę jego sztukę żonglerską i zdolności żonglera. Pragnąłby ci on oskarżyć wszystkich uczciwych o szulerstwo, choćby jeno rzucić podejrzenie, by zasię móc dla sumienia swego znaleźć pocieszenie: wszelako i na innych cienie spoczęły.

Jeno o tem zapomniał szuler, iż na sztuczki jego patrzą z pobłażliwą pogardą — nie uczy ona i wiary nie zdobywa. Szuler szulerem zostaje, choć zmieni kasyno i karty.

Zali endecy nasi po swych doświadczeniach tak są jeszcze naiwni, iż sądzą, że kogo na szulerstwo polityczne nawrócą? Że ich kuglarskie sztuczki poza śmiechem trwalsze refleksje wywołają! Że ich wysiłki dla zrównania moralnego pp. Zdziechowskich i Korfantych z czołowemi osobami naszego obozu mogą mieć inny skutek w społeczeństwie, jak dobrotliwy uśmiech lekceważenia, wzywający do darowania im, albowiem sami nie wiedzą, co czynią. Szulerka endecka pokusiła się w ostatnich czasach o zdobycz specjalną. Postanowiła sobie mianowicie obrać czołowych ludzi z powagi, z zasług i w ich suknie przystroić może własne nagie uwiedle cielska. Gdyby się liczono z tem rąk wyciąganiem po nieswoje — danoby boleśnie po palcach. Nie liczymy się z niem jednak i ze wzgardą odsuwamy od trądu moralnego endecji, za sprawą której szulerstwo zwykłe, ordynarne, przeniesione zostało w życie polityczne. To jedno tylko pozostaje do powiedzenia poważnie — szulerka, która operuje na kieszeni obywatela, znajduje swój hamulec w kryminale; szulerka, która na sumieniach, wierze i siłach społecznych chce wygrywać znaleźć musi równie publiczny osąd, jak teren, który dla swej operacji wybrała. Poznano się na mieszaniu kart i podstolnem manipulowaniu rączkami w cudzych kieszeniach.

Gdyby w ciągu ostatniego choćby tygodnia dzień za dniem śledzić to, co „Gazeta Warszawska" na I-szej stronie wypisuje pod adresem rządu i naszego obozu starając się pokumać z nazwiskami premjera Świtalskiego, płka Sławka, to znów tego lub owego ministra, to znowu niedopowiedzeniami pozwalając się domyślać, jakie to straszne rzeczy o ludziach obozu Piłsudskiego wiedzą wtajemniczeni „Gazety Warszawskiej" — szulerka mentorów wystąpi w całej ohydzie. Redaktorzy paszkwilów politycznych endecji liczą na to, iż nikt nie będzie pamiętał jutro, co dziś przeczytał, że czytelnicy mają równie krótką pamięć, jak politycy endeccy, którzy w bardzo krótkim czasie zdołali zapomnieć o zamordowaniu ś. p. Prezydenta Narutowicza, o wypadkach krakowskich, o grzechach gospodarczych swego obozu o całej demoralizacji, jaką życie Polski zarazili. Liczą na to, iż wysilania się na złośliwości wystarczą za materjał faktyczny do osądzenia wartości współczesnych twórczych sił narodu. Na dłuższą metę metoda walki paszkwilami, insynuacjami, — właściwemi obozowi narodowej demokracji — wyciąganiem słomy z oka, w swojem belki nie widząc, skończyć się musi kompromitacją i klęską tego, kto przy pomocy tej metody pragnie niszczyć wartości pozytywne, mieszając je z własną nicością małością i słabością.

Historja nienowa, objawy nieświeże. Wszak to już czasu wojny endecja dokładała wszelkich sił, by ofiarność żołnierza, jego wiarę w zwycięstwo osłabić, zabić, byle tylko „orjentacja" endecka znalazła rację. I dziś endecja wsączaniem szulerskich metod „rywalizacji" wiarę społeczeństwa chce zabić. Doświadczenie jednak nauczyło już społeczeństwo uważnego patrzenia w sumienia, a i nas nauczyło, że niezawsze dobrze jest czekać na to, iż głupi rozumu nabierze, a zły się poprawi.

# ZJADACZE CHLEBA

Dawny program narodowej demokracji, zawierający hasła „pracy organizacyjnej" na podłożu czysto ekonomicznem z całkowitem wyeliminowaniem pierwiastków niepodległościowych i spraw religijnych stał się przykrym dokumentem czasów niewoli z chwilą gdy państwo Polskie uzyskało byt niezawisły. Gdy wojska rosyjskie opuściły terytorjum Polski i wiadomem już było niezawodnie, że nigdy nie powrócą, przywódcy endeccy poszukują nowych przyczynków do programu politycznego. Nie mogąc się zdobyć na pozytywne ustosunkowanie się do nowej sytuacji, ponieważ lata całe urabiali swą umysłowość na współżycie z rosyjskim suwerenem, zdecydowali zająć stanowisko ideowo bierne, polegające na schlebianiu instynktom najniższych sfer burżuazyjnych, te ostatnie bowiem w roli przedniej straży mają za zadanie osłaniać interesy ekonomiczne i polityczne „grubych ryb" endecji. Dlatego właśnie sięgają endecy po motywy tradycji narodowej i religji. Wpływy tradycji są u nas bardzo znaczne i wywarły bardzo poważny wpływ na kształtowanie się pojęć. Pozornie nie chce to się godzić ze znaną wybujałością indywidualizmu u nas, ale przypomnijmy sobie jednocześnie, że jednostka, wyrastająca ponad społeczeństwo musiała zawsze toczyć walkę, ilekroć pod jakimkolwiek pozorem usiłowała naruszyć utartą tradycję.

Otóż przywódcy endecji rozumieją te zamiłowania tradycjonalistyczne narodu i tutaj od czasu bankructwa znanej „pracy organicznej" stale doczepiają swój balast polityczny. Rzecz tak się przedstawia. W każdem państwie znajduje się część ludności, dla której najważniejszem z ogólnego pojęcia „życie" jest możność bytowania — prawo zachowania gatunku. Są to, jak wyraził się Słowacki, „zjadacze chleba". „Zjadacze chleba" pragną tylko być zawsze tem, czem są, w marzeniach swoich pragną zaledwie niewielkiej odmiany losów, jaką może być nieznaczna poprawa warunków materjalnych, czy zagwarantowanie istniejącego „status quo". Do tej grupy ludzi, którzy rodzą się jako „żeglarze w kierunku wszelkiego rodzaju emerytur" endecy czują specjalnego rodzaju nabożeństwo.

Endecy grupują wokół siebie przedewszystkiem „świadomych zjadaczy chleba", a pod pokrywką haseł tradycji również jeszcze wszystkich „nieświadomych zjadaczy chleba" t. j. ludzi, którzy ambicjonowani nie pozwoliliby sobie na tak daleko idące lenistwo duchowe, jakiem jest wszelkie zaskorupianie się w granicach potrzeb żołądka.

Właśnie przywódcy endecji spekulują na głuszenie sumień i sztuczne usypianie zdrowych instynktów ludzkich. Świadczy o tem ustawiczny kompromis i wielka elastyczność w ramach tradycji, choć to wygląda zgoła nieprawdopodobnie.

Przypomnijmy sobie, że ten sam obóz głoszący dzisiaj hasła szowinistyczne, był przed wojną całkowicie lojalnym względem zaborców i to nietylko formalnie pod przymusem, ale rzeczywiście i dobrowolnie. Tradycja wówczas nie odgrywała żadnej roli prawie, a sprawą zasadniczą były postulaty ekonomiczne bez uwzględnienia dążeń narodowych w ścisłem tego słowa znaczeniu, stąd legalne marzenia o prezencie z autonomji i tamowanie, a nawet prześladowanie prądów niepodległościowych, jako niszczących konjunkturę gospodarczą vide rynki wschodnie. Z tamtych czasów pod wpływem haseł pozytywizmu zawdzięczamy endekom znaczną liczbę t. zw. „katolików" t. j. osób pochodzenia polskiego, ale różniących się od Rosjan jedynie wyznaniem religijnem.

W czasie wojny pod wrażeniem odezwy „głównodowodzącego", endecy sięgają po „tradycję narodową", naginając się do wymogów czasu, ale i tutaj następuje intensywne wiązanie pojęć narodowych polskich i rosyjskich pod płaszczykiem panslawizmu. Spekulowano wówczas na fakcie, że sporo polaków znajdowało się w wojsku rosyjskiem. Rewolucja w Rosji kładzie prędko kres marzeniom, że endecy będą włodarzami prezentów cesarza rosyjskiego dla Polski, z drugiej strony pod wpływem akcji legjonowej budzi się wśród społeczeństwa poczucie prawa do niepodległości, na czem próbują spekulować Niemcy, ogłaszając niepodległość państwa polskiego.

Wówczas endecja poczyna stawiać ciągle w granicach lojalności względem Rosji na tradycje francuskie. Zamieszano, tam niestety, pod pokrywką haseł tradycyjnych również i ludzi bardzo wartościowych, na których popularności, endecy później sowicie się obłowili. Nie można przypuszczać, aby ci ludzie mogli dobrowolnie przykładać rękę do takich swoistych imprez endeckich, jak koncepcja wojsk ogólnosłowiańskich z zachowaniem supremacji Rosji, zamiast idei wojska polskiego.

To przesiąknięcie endeków do reprezentacji Polski w Paryżu zmarnowało niemal doszczętnie świetną francuską ideę błękitnej armji. Armja ta, oprócz zadań czysto polskich, miała być również naturalną strażnicą francuską na tyłach Niemiec. Nadmierne kunktatorstwo i żagiew walk politycznych w wysokim stopniu zniechęciły Francję, która prawie wycofywała się z tego stanowiska.

W przełomowym roku 1920 po nieudanych próbach powalenia Naczelnego Wodza, w krytycznym momencie, uciekają endecy do Poznania i szerzą separatyzm wielkopolski dla ratowania swych mizernych person. Natomiast po skończonej wojnie poczynają głosić hasła zdecydowanie patrjotyczne i dalej — szowinistyczne. Tutaj pragnienia narodowe nie przedstawiały żądanej wątpliwości, ani żadnego niebezpieczeństwa, tak, że endecy ad hoc spekulując na prądach narodowych, tworzą kult święta narodowego 3 maja, aczkolwiek ich protoplaści duchowi — ludzie kompromisu — byli targowiczanami.

Jest to już zasadą endecji, brać z przeszłości to, co uznanem zostało przez cały naród i ogłaszać za ostoję swej ideologji. W ten sposób potrafią dzisiaj pisać z zachwytem i uznaniem o bohaterskiej akcji Legjonów, jak i przedwojennych pracach niepodległościowych. Dalsze dzieje, to dzieje lat ostatnich. Spekulacja na kompromis i tradycję chwilowo się udała i została wynagrodzona udziałem w rządach. Rządy te były wymowną ilustracją długoletniego współżycia

i współpracy endeckiej z biurokracją rosyjską z dodatkiem pewnej elokwencji według powierzchownych wzorów z zachodu. To ogłupianie i demoralizowanie całego narodu skończyło się krwawo. Przeraziło wielu ze „świadomych zjadaczów chleba" i zbudziło wielu z „nieświadomych". W dniu dzisiejszym kultywowanie ze strony endecji tych pojęć i zwyczajów tradycji, które tamują postęp i rozwój państwa, z asekuracją kompromisu w zanadrzu pozwala na zajęcie względnie „obywatelskiej" pozycji bez uszczerbku dla własnych interesów, choć grozi zagładą w miarę dojrzewania obywatelskiego społeczeństwa.

# ALGEBRA WYCHODŹTWA DO AMERYKI PÓŁNOCNEJ

*Podwyżka polskiego kontyngentu. — Polacy w „pniu kolonjalnym" i „pokolonjalnym".—Cyfry bez wartości.*

Z dniem 1 b. m. dla wychodźtwa do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej otrzymały moc obowiązującą kontyngenty dopuszczonych do lądowania emigrantów z różnych krajów, obliczane na odmiennej aniżeli dotychczas podstawie. Dotychczas podstawą tego obliczenia był spis ludności Stanów z 1890 r. Bill Johnsona z 26 maja 1924 r., obcinając przeszło o połowę liczbę emigrantów, dopuszczanych z pewnych krajów na podstawie billu Dillinghama z 1921 r., określił łączny roczny kontyngent z tych krajów na 164.667 osób. Rozdzielenie tego kontyngentu na poszczególne kraje następowało w proporcji 2 procentów emigrantów z każdego kraju, zamieszkujących Stany w chwili wymienionego spisu. Nowe obliczenie, w Ameryce nazwane „national origins quota" — kontyngent wedle pochodzenia państwowego — dąży do zachowania narodowościowego składu ludności Stanów takiego, jaki istniał w chwili spisu 1920 r. Roczny kontyngent łączny w liczbie 150.000 osób ma być na poszczególne kraje rozdzielany w takich proporcjach, by powstało niby zmniejszone powtórzenie składu białej ludności w 1920 r., a to nietylko urodzonej zagranicą i jeszcze w Stanach żyjącej, ale też urodzonej już w Ameryce, chociaż z obcych rodziców. Znaczenie tej zmiany w podstawach obliczenia najlepiej uwydatnia zestawienie kontyngentów, dotychczas dopuszczanych z kilku najważniejszych krajów wychodźczych, z kontyngentami, obowiązującemi od 1 lipca b. r. Tak np.

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| kontyngent | niemiecki | dotychczas | 51 227 | obecnie | 25 957 |
| „ | angielski | „ | 34 007 | „ | 65 721 |
| „ | irlandzki | „ | 28 567 | „ | 17 853 |
| „ | polski | „ | 5 928 | „ | 6 524 |
| „ | czeski | „ | 3 073 | „ | 2 874 |
| „ | holenderski | „ | 1 648 | „ | 3 153 |
| „ | szwedzki | „ | 9 561 | „ | 3 314 |
| „ | austrjacki | „ | 785 | „ | 1 413 |
| „ | rosyjski | „ | 2 248 | „ | 2 784 |
| „ | estoński | „ | 124 | „ | 116 |
| „ | finlandzki | „ | 471 | „ | 569 |
| „ | łotewski | „ | 132 | „ | 236 |
| „ | litewski | „ | 314 | „ | 306 |
| „ | norweski | „ | 6 453 | „ | 2 337 |
| „ | jugosłowiański | „ | 671 | „ | 845 |

Inne cyfry opuszczamy, jako mniej budzące zainteresowania w Polsce. Widać z powyższego zestawienia, że zaszły właściwie tylko trzy większe przesunięcia. Niemcy straciły bezmała połowę swego dotychczasowego kontyngentu. Wolne państwo irlandzkie prawie trzecią część, zaś kwota dla Anglji (łącznie z Ulsterem) została prawie podwojona. P. S. A. Mathewson, który w „New York Times" tej sprawie poświęcił olbrzymi artykuł, zapewnia, że podstawa obliczenia jest niezwykle ścisła, tak dalece, iż pomyłka o 600 osób w zestawieniu wedle państwowego pochodzenia białej ludności z roku 1920 odbiłaby się tylko jednym emigrantem w kontyngencie danego państwa a dopiero pomyłka o 60.000 oznaczałaby niesłuszne ustalenie kwoty o liczbę 100 wychodźców.

Takie zachwalanie nowej imigracyjnej algebry czy też geometrji północno - amerykańskiej wzbudza pewne i to wcale poważne wątpliwości. Lecz zanim o nich pomówimy, musimy bodaj w zarysie poznać teoretyczne podstawy obliczenia. Bill Johnsona z 1924 roku polecił sekretarzom stanu dla handlu i pracy ustalenie kontyngentów wedle pochodzenia państwowego (national origins quotas), którzy zlecenie to dali wykonać przez komisję fachową pod przewodnictwem D-ra Joseph A. Hill'a, wicedyrektora spisu ludności. Tym fachowcom więc przypadło zadanie, polegające na stwierdzeniu pochodzenia państwowego 94.820.915 miljonów białej ludności, spisanej w Stanach Zjednoczonych P. A. w 1920 r. Zadecydowali oni — zresztą zupełnie logicznie — że pierwszą częścią zadania będzie ustalenie tej liczby ludności z 1920 r., która pochodzi od ludności, jaka była w Stanach w 1790 r. przy pierwszym spisie po osiągnięciu niepodległości.

Żmudny proces badania starych akt spisowych trwał od 1924 do 1927 r. W ten sposób doliczono się, że 3.172.444 ludzi białych, którzy zamieszkiwali Stany w 1790 roku, miało w 1920 r. żyjącego białego potomstwa w czysto amerykańskiej linji 41.288.570 głów. Tę ludność nazwano „Colonial stock" — „pniem kolonjalnym", a odciągając jej liczbę od ogólnej liczby ludności białej w 1920 r. wypośrodkowano 53.532.345 osób, które zaliczono do „post - Colonial stock", do „pnia pokolonjalnego". Ten „pień pokolonjalny" obejmuje więc, zdaje się, że z niezbyt wielką pomyłką, całe w 1920 r. żyjące potomstwo imigrantów, przybyłych do Stanów po 1790 r. i wszystkich poza Stanami urodzonych mieszkańców w tymże roku. Należy zatem jeszcze rozdzielić oba pnie, „kolonjalny" i „pokolonjalny" według pochodzenia z poszczególnych krajów, a ma się klucz, mający posłużyć do rozdziału kontyngentu imigracyjnego.

I tu komisja p. D-ra Hill'a uczyniła krok, odbierający całej jej pracy znaczną część jej wartości. Krok ów komisja uczyniła, bo nie było innego sposobu odpowiedzi na pytanie: Jaki był w 1790 r. skład wedle pochodzenia państwowego ludności Stanów Zjednoczonych?

Spis z 1790 r. nie notował ani miejsca urodzenia,

ani przynależności państwowej. Posługując się urzędową klasyfikacją wedle pozornego dźwięku nazwisk w spisie, komisja rozdzieliła „pień kolonjalny" na Anglików, Niemców, Irlandczyków, Holendrów i t. d. Pomijając już pomyłki, wynikające ze zwyczajowego jeszcze zniekształcenia pisowni nazwisk obcych w krajach angielskiego języka, dość przypomnieć, że od wieków już ruchy migracyjne w samej Europie, a dalej w różnych okresach czasu po różnych krajach przeprowadzane nadawanie nazwisk rodowych, doprowadziło do tego, że sam dźwięk nazwiska nie daje dostatecznej podstawy do określenia narodowości, a tem mniej państwowego pochodzenia osoby, posługującej się tem nazwiskiem. Protesty przeciw tej metodzie spowodowały najpierw odroczenie zamierzonego zarządzenia, potem znaczną podwyżkę kontyngentu dla Irlandji, mniejszą dla Niemiec. W ostatecznie przeprowadzonym podziale z „pnia kolonjalnego" zapisano na dobro:

| | | |
|---|---|---|
| Wielkiej Brytanji i Ulsteru | 31.803.900 | osób |
| Niemiec | 3.056.800 | „ |
| Irlandji | 1.821.500 | „ |
| Holandji | 1.366.800 | „ |
| Francji | 767.100 | „ |
| Szwecji | 217.100 | „ |
| Danji | 93.200 | „ |
| Norwegji | 75.200 | „ |
| Czechosłowacji | 54.700 | „ |
| Austrji | 14.100 | „ |
| **Polsce** | **8.600** | „ |
| Rosji | 4.300 | „ |

Łatwiejszy był podział tak zwanego „pnia pokolonjalnego", bo tu istniał obszerniejszy materjał informacyjny, chociaż, jak zobaczymy, w wielu kierunkach wcale niedostateczny. Komisja z tej grupy białej ludności w 1920 r. podzieliła wedle państwowego pochodzenia na:

| | | |
|---|---|---|
| Niemcy | 12.451.815 | osób |
| Irlandję | 8.831.834 | „ |
| Wielką Brytanję i Ulster | 7.412.433 | „ |
| **Polskę** | **3.884.196** | „ |
| Włochy | 3.462.271 | „ |
| Szwecję | 1.760.134 | „ |
| Czechosłowację | 1.660.428 | „ |
| Rosję | 1.656.654 | „ |
| Norwegję | 1.343.392 | „ |
| Francję | 1.074.589 | „ |
| Austrję | 828.951 | „ |

Widzimy tu, że Polska, w rozdziale „ludności kolonjalnej" zajmująca miejsce dziesiąte, w rozdziale „pokolonjalnej" posunęła się na czwarte. To samo miejsce zajmuje też w ostatecznem zestawieniu ludności obu „pni" i w przyznanym jej kontyngencie. Lecz wystarcza zaglądnąć do dwóch znanych gruntownych prac p. Dr. M. Szawelskiego, obecnie kierownika biura ekonomicznego Banku Polskiego, a byłego wicekonsula R. P. w Nowym Jorku, by się przekonać, na jak kruchych podstawach opiera się taka klasyfikacja „polskiego pnia" w Stanach Zjednoczonych, a temsamem te z takim trudem obliczane cyfry dla Niemiec, Austrji, Rosji jako mocarstw, które uczestniczyły w rozbiorze Polski.

Pamiętajmy, że: popierwsze ta klasyfikacja nie odnosi się do narodowości w naszem pojęciu, czyli do tego, co Anglicy i Amerykanie nazywają „race" a czasem „people", lecz do przynależności państwowej i to, jak w tych ustawach amerykańskich wyraźnie zaznaczono, w dodatku jeszcze do przynależności z urodzenia; czyli, że Rosjanin, urodzony w Polsce, zaliczony jest jako Polak, urodzony w Niemczech, chociażby obywatel polski, zaliczony jako Niemiec. A powtóre, co w swych studjach obszernych p. t. „Wychodźtwo Polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki" i „Kwestja Emigracji w Polsce" również podnosi p. Dr. M. Szawleski: Przez całe dziesiątki lat imigranci polscy zapisywani byli w Ameryce jako Niemcy, Austrjacy, Rosjanie. To zmieniło się nieco od 1899 r. Ale chociaż od wskrzeszenia państwa polskiego władze amerykańskie wielokrotnie starały się powstały stąd zamęt rozwikłać, niema na to dziś żadnego sposobu, który zapewniłby jako tako ścisłe wyniki, już nie nawet co do narodowości, ale co do obywatelstwa emigrantów okresów minionych z ziem, dzisiaj granicami Rzeczypospolitej objętych. Jedynym sposobem mógłby być spis Polaków i osób polskiego pochodzenia, przeprowadzony metodą i z kontrolą, których samo obmyślenie nastręczałoby wielkie trudności, nie mówiąc już o tem że spis taki napotkałby na ostre sprzeciwy bardzo wielu „100-procentowych Amerykan". Od pierwszej ustawy, ograniczającej emigrację, kontyngent z Polski uległ w przeciągu kilku lat tak gwałtownym zmianom — najpierw 20.019 osób, potem 25.822, znów 31.146, a następnie gwałtowna redukcja do 5.928, a od 1 lipca znów drobna podwyżka — a zapiski amerykańskie tak nie zgadzają się ze statystyką, że wszelkie zapewnienia o ścisłości najnowszej algebry imigracyjnej do Ameryki nie mogą mieć żadnej a żadnej wartości. Z podziwu godnym rozmachem, Stany Zjednoczone A. P. weszły w okres, w którym rozbudziła się w nich świadoma wola do stania się oddzielnym narodem w pojęciu nietylko państwowem, ale też etnicznem. Pozostawiając przybyszom wszelkiej narodowości zupełną zwobodę pielęgnowania tej narodowości z własnych funduszów, jak tylko im się żywnie podoba, niemniej jednak dąży Ameryka do politycznej i do etnicznej asymilacji tych pierwiastków z istniejącą już niewątpliwie „rasą" czy narodowością północno - amerykańską. By sobie to zadanie ułatwić, a nie tylko dla samych względów gospodarczych, jakie zwykle wysuwają, dążą Stany Zjednoczone A. P. do ograniczenia i utrudnienia napływu pierwiastków, o których wiedzą z doświadczenia, że trudniej się asymilują. Przykład takiej „retorty narodów" na mniejszą skalę mamy od wieków za kanałem La Manche w Anglji. Ameryka od Anglji tu różni się tylko gigantycznemi wymiarami „retorty" i algebrą imigracyjną, coprawda operującą samemi liczbami... urojonemi. Co jednak nie zapobieże temu, że ostatecznie Ameryka celu swego dopnie.

*Spectator.*

# „GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

## MUSA MILITANS

W pewnym liście do Słowackiego (z roku 1840) Krasiński tak pisał o metodzie twórczości wojującej i tak radził, gnębionemu atakami ostrej krytyki literackiej, przyjacielowi:

„Julu, zaklinam Cię, nie dbaj na te gwary, które kiedyś nawrócą się do ciebie... Przymieszaj trochę żółci do twoich lazurów, a obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek chemiczny — ziemię przynęci do ciebie: więcej wątrób na świecie, niż serc, ach! jakże cię wtedy będę rozumiały wątroby!... Dopiero uczuwają twoją rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka koścista, na skronie. Do korda i na sejmik! Rąbać mi i siekać! A zostawiwszy trupy na placu, znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie!"

Wiadomo, że słowa te stały się jednym z potężnyh bodźców dla Słowackiego w twórczości „Beniowskiego", w którym żywioł polemiczny uwydatnia się wyraziście poprzez treść epicką. Ujmują one znakomicie stosunek poety wobec opornej rzeczywistości, stosunek nawskroś negatywny.

Albowiem pełna rzeczywistości znajduje się w diametralnej sprzeczności z całym ideowym światem pisarza bojowego. Inicjatywa jednak w tym wzajemnym stosunku pozostaje w rękach twórcy wojującego. On tylko agresywnie występuje przeciw otaczającym go z zewnątrz zjawiskom życia. Pragnąłby je przekształcić, urabiać, dostosowywać do miary własnych ideałów; chciałby, by one harmonizowały z jego systemem myślowym, intelektualnym czy uczuciowym.

Atoli między pisarzem, a zjawiskiem, przedmiotem zwalczania istnieje wcale poważna perspektywa przestrzenna. Kierunek jej jednakowoż nie jest, jakby się z początku wydawało, horyzontalny, na jednej płaszczyźnie, ale właśnie przeciwnie: jest ona, jeśli się tak literatowi wyrazić wolno, wertykalną. Wszystkie te „lazury", „zawisania na... niebie" i spoglądanie z tej wyżyny na „małość" świata, — to są wyrazy poetyckie stosunku dwupłaszczyznowego: twórcy wojującego i rzeczywistości, płaszczyzny nizinnej.

Poznanie jednak pełni życia z dostojnej wyżyny izolacyjnej nie jest dla tego rodzaju twórców, co polemiści, wystarczające. Tego typu trwały stosunek odpowiada tylko organizacjom twórczym, kontemplacyjnym, dla których fikcja poetycka nabiera cech rzeczywistości konkretnej. Dla struktury psychiki poetyckiej o kierunku dośrodkowym, dla twórców, którzy, choć walczą z rzeczywistością, jednak, kochając jej istotę, ciążą ku niej, dla polemistów, dla ich twórczości rzeczywistość posiada wartość podstawową, znaczenie niemal macierzyste. I oto zaobserwować można zjawisko niesłychanie wyraziste i zastanawiające. „Splendid isolation" twórcy - polemisty jak gdyby zaczyna rezygnować ze swego arystokratycznego stanowiska: polemista schodzi między „profanum vulgus", zaczyna brać czynny udział w życiu. Obserwacja dokonywa się na jednej teraz płaszczyźnie; perspektywa maleje coraz bardziej, twórca, „genjusz aspołeczny" miesza się w tłum, w kłębowisko codziennych spraw ludzkich, interesów nieraz małostkowych, błahych. Może trochę pyłu i brudu osiądzie, by się tak poetycznie wyrazić, na szatach jego; ale zysk z dokonanych spostrzeżeń jest dla polemisty cenniejszy. Rozbogaca się jego władza intelektualna: poznanie, wyobraźnia zyskuje na rozpiętości, potęguje się skala uczuć; słowem, rzeczywistość przemówiła i znalazła w świecie psychiki ludzkiej oddźwięk.

W opisanym stosunku zachodzi wszakże różnica między rozumieniem rzeczywistości u twórcy - polemisty, a jej... afirmacją.

Si duo aiunt idem, non est idem!

Z tego miejsca roztaczają się rozległe widoki na psychologję twórczości polemicznej. „Musa militans" bowiem posiada własną psychognozę.

Do wiadomości o życiu duszy, czyli biografji wewnętrznej, dochodzi się poprzez znajomość biografji zewnętrznej.

Dyspozycja polemistyczna oraz szczególne warunki i okoliczności życia, — to są dwie siły, które polemiście ułatwiają dojście do głosu. Ale szczególnie ten czynnik „życiowy" wyciska znamię na twórczości polemicznej. Biografja bowiem pisarza wojującego jest zazwyczaj smutna, niejednokrotnie tragiczna! Oto w imieniu tych wszystkich, którzy śmieli być odważni w piśmie, mógłby przemówić Cervantes (ten od „Don Kichota"): „więcej obyty w nieszczęściach niż w sztuce pisarskiej". (Dla niewiernych oryginał: „Màs versado en desdichas que en versos".). Nie miał, jak sam wyznaje, lewej ręki, jąkał się, miał wzrok osłabiony, odsiadywał często karę więzienia z powodów politycznych.

Paweł Scarron napisał „Romans komiczny" a przecież nie było większego cierpiętnika nad niego. Szereg tych polemistów - męczenników w życiu jest rozległy. Byron, Musset, Leopardi. Tieck, Heine, Słowacki. Nie zbliżajmy perspektywy historyczno - literackiej, nie sięgajmy do chwili bieżącej w literaturze. Żyją bowiem ci, którzy walczą; trwa jeszcze rzeczywistość, którą zwalczają.

Między życiem twórcy - polemisty a tworem jego powstaje przepaść. Podłożem tego zjawiska jest, gdy się tak uczenie wyrazić wolno, paralelizm istnienia. Całe wewnętrzne życie polemisty opiera się na przedstawieniach biegunowo przeciwnych: kojarzy on bowiem w swej duszy przedstawienia o treści budującej a zarazem przedstawienia o treści zniszczenia. Wesołość i smutek, zdrowie i niezdrowie, — to są granice fluktuacyj psychicznych polemisty. Wszelkie

zjawiska życia traktuje on porównawczo; w rzeczach pozornie czy istotnie nawet podobnych odnajduje różnice, stwierdza sprzeczności. Usiłowania jego w apercepcji zjawiska idą w tym kierunku, aby pogodzić różnice, aby wykazać, że istnieje wspólne podłoże między różnemi zjawiskami. Nie to, że przytem przymierzaniu zjawisk różnorodnych niektóre ulegają zniszczeniu; dzieje się to wszystko w myśl tendencji twórcy - polemisty, na tem się zasadza działalność polemiczna, niszcząca z jednej strony, z drugiej zaś wznosząca nowe gmachy idej i systemów.

Ideologja pisarzy wojujących nie przedstawia się atoli w stanie skrystalizowanym; podlega pewnym wahaniom, a nawet niekonsekwencjom.

Ukuć można z tego faktu niewątpliwego szereg zarzutów. Ale i apologecie nie zabraknie kontrargumentów.

Walcząc o pewne ideje, pisarz - polemista doczekać się może, że się te ideje zrealizują, ulegną konkretyzacji. Z tą chwilą przestają one być dla niego przedmiotem walki, a stają się niekiedy a rebours przedmiotem zwalczanym.

Chwalcą istniejącego stanu rzeczy polemista być nie może; przeszedłby bowiem wtedy z podstawy wojującej, która jest istotą jego twórczości, do kwietyzmu, będącego jej zaprzeczeniem i zatratą talentu. Stąd to pochodzi, że cała twórczość polemiczna oparta jest o aktualizm. Nie szuka pisarz - polemista, rzecby tak można, guza, zaczepki: sprawy aktualne dają mu podstawę do wypowiedzenia walki czasom, rzeczom, ludziom.

Dlatego też rasowi pisarze - polemiści nigdy nie wyczerpią przedmiotu swej twórczości. Jest ona zawsze młodą, bujną, świeżą, jak bujnem, świeżem i młodem jest życie, źródło ożywcze i niewysychające natchnień poetyckich.

W służbie twórczości polemicznej powstają dla pisarza pewne obowiązki, określićby można żołnierskie: wytrwałość w walce i hart ducha — oto dwa najważniejsze.

*Dr. Stefan Kawyn.*

# LUNATYK

*Noc tu, w pokoju, wszędzie — noc tam, dookoła,*
*czyha jak ośmiornica — włochata, okropna.*
*Na dach od gwiazd aż śliski, srebrny czar mnie woła*
*pobrzękiem szklanej kuli o przymknięte okna.*

*Muszę wyjść tędy, prosto — lecz jakże się nie bać*
*lekkich lotów różowych, przepaści, zachwyceń?...*
*— Położę srebrne usta naprzeciwko nieba —*
*niech uśnie srebrne serce — strach, pełen księżyca.*

*Puste niebieskie oczy z gzymsów mnie sprowadzą*
*na spokojną podłogę — już nie zbłądzę więcej*
*w srebrną samotność pchnięty księżycową władzą:*
*nie puszczą mnie twe ciepłe, twe matowe ręce.*

# O JESIENNYM KOLORZE

*Zmierzch w pluszowych bamboszach po pokojach chodził,*
*chłód w szarej pelerynie biega po ogrodzie,*
*jesień przez szpary w płocie zagląda do sadu*
*i wargami obrywa liście winogradu.*

*Wkrótce furtkę skrzypiącą otworzy szeroko,*
*wyciśnie w trawie ślady fioletowych kroków,*
*poobleka gałęzie, co się z zimna splotą,*
*w swe liljowe, czerwone i bronzowe złoto.*

*Po zieleni kwitnącej, po zieleni młodej*
*westchnie szelestem liści i ciszą pogody*
*i przez okno z ogrodu przywionie aż do mnie*
*barwą mojej tęsknoty, barwą moich wspomnień.*

# OSAMOTNIONY OGRÓD

*Jesień kwitnie, puszysta, fioletowo słodka,*
*wiatr na czarnych gałęziach gra jak na klarnecie.*
*Szukam cię wszędzie, gonię — może tu cię spotkam,*
*po złotem dnie ogrodu biegnącą naprzeciw?...*

*Pukam w omszoną korę, pytam drzew gdzie jesteś. —*
*ale pnie milczą, nie chcą mi dać odpowiedzi.*
*Cisza kąpie lipowym, klonowym szelestem*
*z koralowej kopuły, z bursztynu i z miedzi.*

*Cierpka wilgoć octowa dyszy rudo w krzakach...*
*Usta moje przylgnęły do chłodnych ust wiatru.*
*— Gdzie jesteś? Sam wyszedłem (— zmierzch w ogrodzie płakał —)*
*sam, z księżycem pod pachę — jak żebrak z teatru.*

*Roman Kołoniecki.*

# ZMARTWYCHWSTANIE

*(Nowela).*

Pewno, że nikt inny tylko swój — zakończył rozmowę Leszka, ostatni raz pociągnął „cygarkę"*) i rzucił ją za burtę do rzeki. Tak, tak — kiwali kudłatemi głowami i zgadzali się z nim zupełnie.

Radzili w pięciu na brzegu pokładu „Bohatera". Załoga składała się z samej „złotej roty"**). Dlatego nic w nich nie było z marynarzy. Boso, w parcianych spodniach i koszulach zgrzebnych, przepasanych sznurem. Takich wielu Wołga na swoim grzbiecie nosi. Gdzie tam marynarskie, ogolone twarze, a tu brody — po których „bosiaka" poznasz wszędzie — od Ukrainy do Mongolji.

*) cygarka — papieros kręcony z machorki.
**) złota rota — bosiaki — włóczędzy w portach nadwołżańskich.

Było o czem dzisiaj mówić. Takie wypadki między swoimi nie zdarzają się. Każdy ma na statku kuferek, nie — to worek — i tam swój dobytek — buty, tytoń, koszul parę, albo i obrazek święty. Nikt nie zamyka. Między swoimi i na wodzie niema złodziejstwa. Za to — śmierć. A tu patrzcie — gdzie się podziały koszule Olimki. W Kazaniu kupił od Tatarki co wódkę na statek przynosiła. Dwie sztuki — piękne. Teraz patrzy — w jego worku nic — tylko pudełko z tytoniem.

Ten jeden — młody, golony — co to brzytwę śliczną ma —ten jeden mógł skraść bieliznę. Od Kazania też jechał. Wziął go „stary". Bies jego matkę zna — kelnerem jakimś był. Ręce delikatne miał — na sznurach zdzierał. Mocno głowę ostrzygł — pewno z pod klucza.

Tak mówili, a słońce, zachodząc toczyło się po czubkach fal.

Szeptali we czterech — Leszka, Piotr, Walkura i Niepomny. Ponurość ich dławiła. Żeby między braćmi, między swoimi, co wszystko bez zamka trzymają. Nie po chrześcijańsku, a po piesku. Nikt tylko on, Pietruszka, podły śmierdziel. Sam wszystko zamyka — klucz na sznurku nosi. Wielki kupiec! Szczeniak parszywy. I jak tu takiego nie ukarać. Przed pana nie pójdą. Ale karę wymierzyć trzeba. Odebrać i wygnać ze statku? No i cóż — pójdzie. Trzeba mu pokazać. Zabić sobakę — tak mu śmierć należy się. Bić całą załogą jednego — to dobra sprawa — i bezpiecznie i przyjemnie i nauka dla wszystkich piękna.

Słońce chlusnęło kilka razy czerwienią na rzekę i zaszło. W porcie ciszej było niż w mieście, rozjaśnionem mnóstwem świateł i gwarnem. Schodzili się powoli ludzie z wybrzeża. Babę nawet jakąś przywiedli — tarmosili ją długo we trzech i zapłacili potem pięćdziesiąt kopiejek, choć trzydzieści się należało, ale podchmieleni byli.

Zwolna zapadła zupełna cisza i ciepło lipcowej nocy. Rzeka stanęła stężała i szklista chłonąc blask żywosrebrzysty majaka zawisłego na granatowej pustce.

Leszka i Niepomny, co nakaz od towarzyszy mieli, leżeli długo. Odpędzali sen. Wreszcie Niepomny wstał i sprawdził. Pietruszka śpi mocno na ziemi, w pobliżu maszyn — kuferek postawił obok.

Potem poszli obydwaj, cicho stąpając bosemi nogami. Nieruchoma woda chlupotała sennie i dziw, że statek lekko się kołysał.

Pietruszka leżał nawznak z szeroko otwartemi ustami. Nie obudził się gdy zabrali kuferek i znieśli pod pokład.

Kusztykali ostrożnie po ciemnych schodach. Gnała ich nienawiść i chęć potwierdzenia podejrzeń. Zapalili świeczkę i długo odrywali zamek. Tak — koszule Olimki leżały na samym wierzchu. Obydwie— dwie sztuki. Reszta przestała ich ciekawić. Był tam kapelusz, jak kociołek, okrągły, czarny i — sztywny. Sznurki jakieś i kołnierze pańskie. Papiery pisane. Złożyli wszystko na miejsca i odnieśli kuferek. Pietruszka spał.

Ranek szybko ze mgły wyszedł. Nad rzeką chodził krzyk syren i zgrzytliwe głosy elewatorów. Na statku stała pietruszkowa śmierć. Nic się zewnętrznie nie stało. Pietruszka zobaczył wyłamany zamek, a przy pomoście na ląd zawsze dwóch z załogi pilnowało. Robota ciężko przewalała się razem z pakami towarów i węglem. Stary brał zapas na półtora dnia drogi do Astrachania. Cicho tylko było wśród załogi — coraz ciszej. Jeżeli ktoś mruknął, to o tem, co legło dziś na statek. Psu psia śmierć, powiedział Walkura. Pietruszka, blady, wykonywał zwykłą robotę. Wszyscy udawali przed nim, że o niczem nie wiedzą — za kilka godzin statek przyjmie najcięższy ładunek i wyjdzie na środek rzeki. O zmroku skończy się.

Stary zoczył, co się dzieje, ale długo po Wołdze jeździł... Wiedział, że rady niema — niema, choć po wybrzeżu krążyły policyjne patrole. Tylko ucieczka— niemożliwa.

Tak szły godziny do południa.

Morda jakaś odwróciła się do statku po południu i patrzyła nieruchomemi gałami na wszystkich—na załogę, na starego kapitana, na Pietruszkę Kiedy obiadową kaszę rozdali, Pietruszka nieznacznie skrył miskę. Niech nie widzą, że jadła tknąć nie może.

— Robota poszła sprawnie, zwyczajnie... A jednak chyba każda rybitwa wiedziała, że ginął człowiek — człowiek Pietruszka — i nikt mu nie śmiał pomóc. Bo za złodziejstwo między swoimi — nożem w plecy i za burtę. Załoga miała mocne serca, ale parę godzin po południu rzekłbyś, gorący jęzor wszystkich po karkach lizał i przypiekał... Już, już — prędzej...

Pietruszka też chciałby krzyczeć jak małe dziecko — ot tak sobie — pokrzyczeć dla ulżenia duszy, ale milczał.

Koło czwartej niebo było płowe, a woda koloru stali. Szklany miraż stał naokoło Pietruszki. Rozpalonym kamieniem był żar i brzegi i ładunki i nawet grube cienie co legły na pokładzie i czas i czas i czas szedł. Pietruszka spoglądał na twarze towarzyszy, patrzył przez chwilę w ich oczy, jak w studnię, i coś go kurczyło. Jakaś łapa od brzucha ciągnęła wszystko — do środka... Do środka... do środka... Ciągnęło pod piersi zmartwiałe jak gruda zimowa.

Pełgał czasem Pietruszka wzrokiem w boki, chyłkiem, ale było zwyczajnie. W nim tylko coś się odmieniło i skomliło głucho i prosiło i czekało i czekało. Potem kładło mu na ogolony łeb zimną, ołowianą dłoń — i mógł znowu pracować jak spokojne drewno. Potem leciało dygotliwie po łydkach, do pięt, do ziemi — i spokój. Potem skleszczyło mocno, mocno grdykę — i spokój. Słuch odjęło, wzrok odjęło, szumiało, oj szumiało w uszach, a w oczach tańcowały białe plamy, białe koszule — i znowu żar zwisał bezwładny, uszasty.

Gdy zegar pokazał szóstą maszyna jęła głosem próżnię macać i w kiszkach statku poczęło bulgotać. Żóraw podawał najcięższe ładunki. Wielki hak powoli kładł brzemię na plecy statku i szybko cofał żelazny dziób.

Pietruszka automatycznie, martwo pracował, odbierając ciężary razem z Walkurą i Niepomnym. Zaraz się wszystko spełni — kładka już dawno zdjęta, połączenia z brzegiem niema... Stary kwikliwym głosem dawał ostatnie rozkazy...

— Maszyna... iij choood.

Maszyna rzucała się i charczała, cielsko statku drżało drobno i zapamiętale. Ostatni ładunek kołysał się nad statkiem.

Pietruszka łysnął spodełba ślepiami, odwrócony, plecami do lądu i kiedy dziób huknął ciężarem o pokład, cofając się do lotu wstecz — Pietruszka błyskawicznie chwycił go rękami... Szarpnęło nim, powiedziałbyś, wyrywając ręce z ramion... Zawinął nogami wysoko, nad pokładem i poleciał.

Oniemiała załoga ze wzniesionemi do góry głowami widziała przez chwilę spoconą i jaśniejącą radością zmartwychwstania twarz Pietruszki.

*Stanisław Turowski.*

# NA MARGINESIE

*„Wiadomości Literackie"* wystąpiły w lipcu (Nr. 28) z wielkim numerem specjalnym, poświęconym Leopoldowi Staffowi. Numer ten tak pod względem doboru poezyj młodych i najmłodszych poetów oddających hołd swemu nauczycielowi Staffowi (Tuwim, Wierzyński, Morstin, Kruszewska, Jastrun, Iwaszkiewicz, Braun, Zegadłowicz, Słobodnik, Kołoniecki), jak pod względem doboru artykułów i nader starannie zebranego materjału ilustracyjnego, jak wreszcie pod względem układu typograficznego stanowić może chlubę „Wiadomości Literackich" i przynosi istotny zaszczyt ich redaktorowi Dr. M. Grydzewskiemu.

Z pośród artykułów zawartych w numerze staffowskim na szczególniejszą uwagę zasługują Ostapa Ortwina. (U podstaw Staffizmu), Józefa Wittlina. (O godności mowy wiązanej, — z doskonałemi ustępami o klasycyzmie w poezji polskiej), wreszcie rodzaj studjum obyczajowego p. t. „Lwowski okres twórczości Staffa", przez Władysława Kozickiego. Studjum to pisane z ujmującą prostotą i najmilszym wdziękiem opiewa świetną epokę lwowskiej bohemy od pierwszych debjutów Staffa aż po okres wielkiej wojny. Prof. Wł. Kozicki w artykule swym nazywa Staffa, — całkiem słusznie, — największym poetą, jakiego Lwów wydał.

Czyżby zdania tego nie podzielali jurorzy literackiej nagrody miasta Lwowa, której dotąd wielka sława Staffa blaskiem swym nie zaszczyca?

Podkreślamy jeszcze raz na tem miejscu olbrzymi organizatorski i redakcyjny wysiłek „Wiadomości Literackich": Ileżto w naszych warunkach trzeba pracy, cierpliwości, jakiej żmudnej korespondencji, by zharmonizować tak wyczerpujący „numer specjalny"?! I jak przy tej inicjatywie „Wiadomości Literackich" wygląda z takim nakładem subwencji i wszelakich pomocy narodowego funduszu nauki i literatury — chwiejnie, czy niezdarnie nawet prowadzony kwartalnik literacki?!

* * *

*Pierwszy Zjazd Polaków* z zagranicy w Warszawie pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w składzie komitetu honorowego mieści przedstawicieli rządu i sejmu, najwybitniejszych przedstawicieli samorządu z pośród innych zaś dygnitarzy — prezesa akademji umiejętności.

Zapewne, że z wieku i z urzędu powinien w komitecie takim figurować prezes akademji umiejętności. Czy jednak słusznem jest, że na równi z prezesem akademji umiejętności niema w tym komitecie przedstawiciela literatury polskiej. Czy — w danym wypadku, — Polacy z Zagranicy mniej czuliby radości, gdyby w tym komitecie był również jako przedstawiciel literatury ojczystej, jako delegat, czy prezes akademji literatury polskiej Wacław Sieroszewski?

Wydaje się nam, iż nieobecność oficjalna przedstawiciela piękności mowy ojczystej na takiej uroczystości, jak zjazd polaków z zagranicy aż nader wyraźnie świadczy, jak upośledzonem jest dziś wspaniałe „rzemiosło" pisarzów polskich, którzy pracą swą i natchnieniem z pewnością tyleż przyczynili się do zachowania polskości zagranicą wśród emigrantów i wygnańców, co najsumienniejsi nasi i najbardziej zasłużeni uczeni.

* * *

*„Ziemia Lubelska"* należy do tych niewielu (a może jest wogóle wyjątkiem?) pism prowincjonalnych, które wydają co tydzień dodatek literacki. Dodatek ten redaguje z wielkim nakładem pracy i czujności młody poeta J. Szczawiej. W dziale poetyckim spotykamy tu nazwiska: Brzechwy, A. Madeja, Słobodnika, Maliszewskiego i w. in. Artykuły walczą o „żywą literaturę", o poezję dnia powszedniego.

Na uwagę zasługuje kampanja rozpoczęta przez dodatek lit. „Ziemi Lubelskiej" o nagrodę literacką Lublina. Kampanja zupełnie słuszna, tembardziej, że w Lublinie ruch literacki od dawna już bije żywem tętnem, formując coraz wyraźniej zawiązek nowego twórczego regjonalizmu.

* * *

Nowy Zarząd Związku Zawodowego we Lwowie wyłonił z siebie jako prezesa: prof. Kozickiego wiceprezesa Ostapa Ortwina, sekretarza p. Iwienicką i skarbnika prof. Brończyka.

Cały prawie skład tych władz Związku wybrany jest ponownie. Jak wiadomo, na ogólnym zjeździe poznańskim poszczególne związki doszły nareszcie do porozumienia z Warszawą i przyjęły zasadę unifikacyjną, na mocy której to zasady zarząd związku warszawskiego wraz z delegatami związków prowincjonalnych reprezentuje organizacyjnie wszystkie ośrodki organizacyjne.

* * *

*Referent literacki departamentu* kultury i sztuki przy M. W. R. i O. P. nie uznał za stosowne odpowiedzieć (czy dać wyjaśnienia) na uchwałę ogólnego zjazdu literatów polskich w Poznaniu, wyrażającą zdziwienie i oburzenie wobec nieobecności referenta podczas posiedzeń i obrad zjazdu. Tenże sam referent miał był przed ferjami letniemi — o ile nas pamięć nie myli, — zwołać jeszcze jedno posiedzenie przedstawicieli literatury i ministerstwa w sprawie wyboru książek a raczej lektury „zaleconej i dozwolonej dla młodzieży.

Jak wiadomo, sprawę lektury dla młodzieży rozstrzygają dotąd wyłącznie same tylko czynniki fachowe, pedagogiczne, dzięki czemu w tej właśnie dziedzinie lektury roi się od dziwolągów i — wzorowych anachronizmów.

*Legendarna już niestety* u nas rzesza jałowych gadułów, klasowych świętoszków, aligatorów narodowych, oskarżycieli polskiej wolności literackiej przed „kapitałem zagranicznym", rzesza gadułów, aligatorów, fagasów i innych uczonych pikuł rzuciła się ostatnio z wielkim ferworem na wydaną przez „Rój" książkę Jasieńskiego p. t. „Palę Paryż".

Mnogoliczną czeredę tych klasowych i „narodowych" świętoszków odsyłamy do wydanej niedawno przez tenże sam „Rój" książki francuza, Pawła Moranda stypendysty, czy urzędnika, czy też pisarza stojącego bardzo blisko spraw zagranicznych republiki francuskiej. Książka ta to „Magja Czarnych".

P. Morand uchodzący na świecie za prawie oficjalną postać Francji literackiej w „Magji Czarnych" poddaje miażdżącej krytyce psychę amerykańską a nawet francuską w stosunku do rasy murzynów. W osądach swych pod pozorem (jak to słusznie w przemowie zauważył W. Rogowicz) epickiego spokoju nie szczędzi najsurowszych słów potępienia starej europejsko-amerykańskiej cywilizacji. Ściśle rzeczy biorąc kto wie, czy p. Morand nie jest surowszy i bezwzględniejszy od Jasieńskiego.

Nikt jednak z tego powodu suggestywną drogą krytyki literackiej nie donosi w literackim świecie francuskim na p. Moranda do waszyngtońskiego „Intelligence-departament". Nikt nie uważa za stosowne odmawiać mu prawa przynależności do kultury francuskiej. Miarodajni ludzie we Francji uważają, że sprawę przekonań trzeba regulować dowodem prawdy, nie zaś pałką, czy oszczerstwem.

Kiedyż osiągną tę obowiązującą wyżynę nasze krajowe mełamedy krytyczno-literackie?!

* * *

*Piccola Biblioteca Slava* w zbiorze III zredagowanym przez Enrico Damiani'go p. t. „I Narratori Della Polonia D'Oggi" (wyd.: Roma Instituto Per L'Europa Orientale) przynosi omówienie młodych i najmłodszych prozatorów polskich. Specjalne ustępy poświęca autor Berentowi, Orkanowi, Kaden-Bandrowskiemu, Makuszyńskiemu, Goetlowi, Kossowskiemu, Wiktorowi, Grabińskiemu, Sieroszewskiemu, Weissenhoffowi, Przerwie-Tetmajerowi i Strugowi (wymieniamy nazwiska wedle kolejności spisu rzeczy, zawartego w broszurze).

Utarło się u nas, że jeżeli w literaturze obcej dokona ktoś jakiej takiej antologji pisarzów polskich, występuje się czemprędzej z pretensjami o tych których pominięto, lub przeoczono. Nie hołdujemy tym zwyczajom, wiemy bowiem, jak trudno wprowadzać nowy element literacki do świadomości obcego etnicznie czytelnika, oraz jak źle wpływają na układ całości zbyt szczegółowe enumeracje.

Niemniej nie możemy nie zauważyć, iż układ, zasłużonego skądinąd znawcy i krzewiciela literatury polskiej w Italji p. Damianiego jest nieco dowolny. Jakże to w nowej prozie polskiej znalazło się miejsce specjalne dla Kossowskiego, czy Grabińskiego, czy Wiktora a już nie stało onego miejsca — dla Choynowskiego?!

Jakże to może być, iż figurują tu utalentowani zresztą nowicjusze (jak np. Kossowski).

# KILKA SŁÓW O LITERATURZE WOJENNEJ WE WŁOSZECH

Żadne dzieło literackie, mające za temat wojnę na froncie włoskim, nie zdobyło sobie takiego powodzenia jak „Ogień" Barbussa, lub „Im Westen nichts neues" młodego niemieckiego pisarza. Gdzież jednak, w jakim kraju należy szukać wielkich rewelacyjnych dzieł, w tych latach powstałych.

Leżą przedemną dwie książki, które dla swych wielkich walorów jaknaprędzej powinny być przełożone na język polski: „La coltura italiana" Prezzoliniego i świeżo wydana w Paryżu „Littérature italienne" Benjamina Crémieux. Zarówno Prezzolini jak i Crémieux wypowiadają się dość krytycznie o wojennej literaturze włoskiej, a niski jej poziom tłumaczą tem, że epoki namiętności nie są nigdy epokami myśli, i że do wielkiej tragedji europejskiej nie dorośli zarówno mężowie stanu, jak i ludzie pióra.

Autora „Coltura italiana" bardziej od analizy krytycznej poszczególnych książek interesuje zagadnienie jaki wpływ wywarła wojna na idee kilku jednostek z Crocem, Ferrero i Tilgherem na czele.

Bendetto Croce, estetyk, moralista, krytyk, polemista dominuje nad życiem duchowem Italji wieku XX tak jak Carducci dominował w końcu w. XIX. Marksista w młodości stał się z ucznia Karola Marksa gorącym wielbicielem Hegla i znalazłszy w idealiźmie hegeljańskim filozoficzną bazę, głosił podczas wojny idealistyczne hasła powszechnego braterstwa, które oczywiście wpadły w próżnię. Dwaj inni: Ferrero i Tilgher poszli drogą proroków pesymistycznych. Analogja między katastrofą świata antycznego i nowoczesnego z „Untergang des Abendlandes" Spenglera odbiła się silnem echem w ich dziełach, przyczem wszystkie ich sympatje są po stronie starożytności, która była epoką ducha w przeciwieństwie do współczesnej cywilizacji „merkantylnej, chorej na manję posiadania i fabrykowania, skazanej na zagładę po wielkiej katastrofie wojennej". Narodzą się nowe wieki średnie, epoka przejściowa, a później nastanie cywilizacja socjalistyczna, która z niewolników państw nacjonalistycznych uczyni wreszcie ludzi wolnych. Oto zasadniczy rys idej, zawartych w książkach jak „La Crisi mondiale" „Il concetto d'individuo" i t. d. Nie trzeba dodawać, że ich autorzy są zagorzałymi przeciwnikami faszyzmu.

Przechodząc do dzieł wojennych literatury włoskiej, zaznaczam, że prócz antologji, skomplikowanej przez Prezzoliniego „Tuttalaguerra" „Kobilek" Soffici i „Con me e con gli Alpini", nic więcej nie czytałem. W przedmowie do swej antologji twierdzi Prezzolini, że mimo wszystko literatura wojenna jest szczytem artystycznej produkcji z lat 1915—1918 i że naród włoski, który zapomniał o jej istnieniu już w pierwszym miesiącu pokoju, powróci do niej wówczas, gdy pamięć ran i cierpień, przestanie być świeża.

Autor „Con me e con gli Alpini" Piero Yahier, redaktor dziennika „Astico", wychodzącego w okopach, zebrał pieśni żołnierskie i swoje wspomnienia i opublikował je pod powyższym tytułem. Proza Ya-

hiera pełna jest djalektycznych zwrotów, co laikowi, nie pochodzącemu z Tyrolu, bardzo utrudnia czytanie. Niektóre z pieśni żołnierskich rytmiką swą przypominają poezje legjonowe Mączki. Yahier maluje typy górali i studjuje ich psychologję zbiorową. Większość ich emigrowała przed wojną do Austrji na roboty sezonowe.

„Znają dobrze wszystko, co jest niemieckie. Byłem jedynym, który po niemiecku nie umiał. Odpowiadali często z przyzwyczajenia: „ja", „ja", gdy o jakąś rzecz zapytałem. Podziwiają niemiecką organizację pracy, czują pewną wdzięczność za to, że tam za frontem umiano ocenić ich siłę roboczą, ale nie mogą znosić niemieckiej pychy i buty. Wszyscy znają Austrję i starego Ceco Beppo (Franciszka Józefa). Widzieli go na inauguracji linji kolejowej, lub na paradzie militarnej. Ale są to wspomnienia z domu niewoli. Wszyscy każdej zimy wracali do swego kraju. Tamte kraje są dobre do kilku miesięcznej podróży, tutaj zaś się żyje i umiera".

W obliczu wojny prawie wszyscy pisarze stawali się realistami. rzeczywistość wojny była tak monstrualna, że trudno było ją zaklinać w słowie jako znaku symbolicznym. Dlatego też „Ogień" Barbusse'a np. nie jest jakąś wojną w ogólności, lecz taką, jaką mógł widzieć i widział autor: Kataklizm, spowodowany szaleństwem ludzkiem i ludzką ignorancją. Żołnierze Barbusse'a zachowują się jak rozbitkowie na odludnej wyspie, o którą biją nawałnice fal i huragany; na wroga patrzą, jak na nieosobowe siły natury. Nieustanna groźba śmierci nie budzi w nich myśli o życiu pozagrobowem; historyczny dramat wojny przeciąga jak grzmot nad ich głowami; nie rozumieją go i nie podejrzewają nawet, że w nim może być coś do zrozumienia. Ich radości i ich smutki są małe i bardzo materjalne: dobre winno, zły tytuń. Są to ludzie prości, których wojna jeszcze bardziej uprościła, sprowadzając ich do najpierwotniejszych instynktów: instynktu samozachowawczego przedewszystkiem, a później do instynktu jedzenia, picia i spania. Gdzież jest tutaj miejsce na heroizm, czy legendę?

Poświęciłem kilka słów Barbussowi, gdyż na tle jego dzieła jeszcze wyraźniej wystąpi „Nokturn" D,Annunzia jedynego symbolicznego dzieła, jakie wojna wydała. Poeta, przedstawiciel współczesnego hedonizmu, poczuł w swej drugiej świadomości, że zburzone zostało coś, co było częścią jego. Tragedja śmierci stanęła przed nim jako rzeczywistość wieczna, boska i ludzka zarazem. D'Annunzio tak jak i Henri de Bataille zwrócił oczy wyżej, ku Dantemu.

Dante bardziej niż kto inny czuł głęboko znaczenie śmierci, w której element ludzki łączy się z elementem boskim. Wspaniałem uczłowieczeniem życia pozagrobowego stała się dla niego „Boska komedja". Dla poetów współczesnych natomiast w życiu ziemskiem jedyną boskością może być „Tragedja". Oto geneza tytułu „Divine Tragédie" Bataille. Aby zrozumieć życie współczesne musi poeta przekroczyć bramę tajemnicy:

„Per moi l'on va dans la cité du sang".

Bataille znajdował nadzieję, patrząc na krew i śmierć: „Vous qui entrez ici commencer l'espérance", gdyż na ruinach ukazała mu się postać zmartwychwstałej psyche; D'Annunzio nie widział od początku rzezi i krwi, ponieważ upił się egzeltacją poety - wojownika, sławą i swym nacjonalizmem. Słusznie podkreśla Crémieux, że „Nokturn" jest także dziełem reprezentacyjnem. Naród ogólnie biorąc, nie chciał wojny, defetyzm i neutralizm były zawsze silne, ale, może być właśnie dlatego mniejszość odczuwała tak jak D'Annunzio mistyczne pragnienie wojny. W żadnej innej książce, nie licząc „Faszyzmu i futuryzmu" Marinetti'ego nie zaznaczyła się tak wyraźnie ideologja przyszłego ruchu faszystowskiego.

„Kobilek" Soffici'ego to arcydzieło opowiadania o walce artyleryjskiej, widzianej oczami pionka-żołnierza. W chwili kiedy mu się wydaje, że atak włoski odparty kontratakiem austryjackim, Kobilek w rzeczywistości został zajęty i bitwa wygrana. Do rannego artylerzysty zbliża się oficer łącznikowy i przynosi mu wieść o zwycięstwie. „Cały bataljon jest już na górze". — Czy moja kompanja także?—Tak!... Osłupiałem. Wszystko więc widziałem najzupełniej błędnie.

„Kobilek" jak i „Odwrót z pod Trioul" Soffici'ego należy do tego samego rodzaju literatury, co „Introdukcja do przeciętnego życia" Stanghelliniego. Podkreślić należy szczerość i skromność, brak których charakteryzuje większość pamiętników wojennych. Mówią, nie zatajając nic, wszystko, co widzieli. Nie ich wina, że był okres, kiedy musieli patrzeć oczami Stendhala na..· Waterloo zanim przyszło Austerlitz.

Oprócz trzech dzieł wyżej wzmiankowanych do literatury wojennej włoskiej należą jeszcze: Od Arno do Isonzo d'Agnoletti „Egzamin sumienia powieściopisarza" Benata Serra. „Z Karsu nad Piave" Mario Puccini i poniekąd „Verginita" Fausto Mario Martini.

Zdaję się, że w bibljotece „Italja Współczesna", pozostającej pod redakcją p. Szyfmanówny ma się ukazać po polsku „Coltura ilaliana" i „Verginita". Z książek okres ten najlepiej charakteryzujących polecałbym gorąco do wydania po polsku romans Borghesa „Kubé", którego akcja zaczyna się w r. 1914 a kończy na roku 1920.

*Edward Boyé.*

# WYSPIAŃSKI W ŻYCIU CODZIENNEM

*(Osobiste wspomnienia).*

Na jednym z fiksów czwartkowych w domu profesorstwa Pareńskich w Krakowie, przed trzydziestu laty, Lucjan Rydel, znany już wówczas poeta, wprowadził młodego i nieznanego malarza Stanisława Wyspiańskiego. Zjawienie się Wyspiańskiego zelektryzowało zebrane towarzystwo. Rydel, pełen głośnego temperamentu, kontrastował z upiorną prawie, cichą, drobną, przeraźliwie wymizerowaną postacią Wyspiańskiego. Od tej pory zawiązał się serdeczny stosunek między domem profesorstwa Pareńskich a Wyspiańskim, który bywał częstym gościem, w gronie ściślejszem odczytywał sceny z „Wesela", portretował córki.

Byłem wówczas uczniem Felicjana Szopskiego i pierwsze moje kompozycje, ozdobione przez Wyspiańskiego, ukazały się w księgarniach. Wyspiański nie posiadał najprymitywniejszych pojęć zawodowo - muzycznych, jednak był niezwykle muzykalnym. Ilustrowałem szereg jego dramatów, a ilustracje muzyczne do swych dramatów sam akceptował, poznawszy dokładnie treść muzyczną. Wyspiański żądał, by muzyka była ściśle związaną z akcją dramatyczną, i powtarzał: „Muzyka dostosowaną jest jako ilustracja do dramatu wówczas, gdy się nie narzuca, gdy widz, wyszedłszy z teatru, nie zdaje sobie sprawy, że w widzianym dramacie była jakaś ilustracja muzyczna, która zlała się tak z akcją, że nie odskakuje, nie wyodrębnia się".

Tempo pracy twórczej, miało u Wyspiańskiego zawrotną szybkość, gdyż znakomity twórca zdawał sobie sprawę ze stanu swego zdrowia i mawiał: „Krótkim jest czas mego pobytu na ziemi, a mam tyle do powiedzenia". Wyspiański był plastykiem i poetą. Utrzymywał, że jedna jest konstrukcja artystyczna, która obowiązuje tak samo plastyka przy tworzeniu obrazu, lub rzeźby, dramatopisarza, czy kompozytora. Często, pokazując skończony witraż dowodził: „Zamiast napisać dramat, wymalowałem witraż". Gdy pomysł dramatyczny był gotowym, szkicował poszczególne sceny dramatu; w ten sposób plastycznie powstawała konstrukcja artystyczna dramatu, który należało jeszcze wypełnić tekstem. Był bardzo wymagającym od siebie. Nie zaczynał pisania dramatu, nie mając gotowego obrazu, do ostatnich scen ostatniego aktu. Wedle Wyspiańskiego dramat byłby najlepiej napisanym wówczas, gdyby dramatopisarz, rozpoczynał pisanie dramatu od ostatnich scen, to jest w najsilniejszem napięciu twórczem, a kończył pisanie na pierwszej scenie pierwszego aktu, to jest w chwili już wyczerpania twórczego. Rację swej teorji popierał następującem rozumowaniem. Widz przybywa do teatru, świeży, niezmęczony, podatny na wrażenia artystyczne. Akt pierwszy, pisany przez autora, w najwyższem, początkowem napięciu twórczem, spotka się z świeżą, wrażliwą, reagującą duszą widowni. W miarę rozwoju akcji dramatycznej, wyczerpuje się pomysłowość twórcy i tępieej wrażliwość widza. Gdyby, rozumował Wyspiański, autorzy dramatyczni zaczynali swe dramaty od scen ostatnich, ostatniego aktu, dawaliby widowni najsilniejsze momenty wówczas, gdy widownia jest znużona. Nieznużonemu zaś widzowi, wrażliwemu jeszcze, dawanoby pokarm dramatyczny już osłabiony wysiłkiem twórczym. Słowem, wedle zapatrywania Wyspiańskiego, ze sceny powinna iść siła napięcia dramatycznego w odwrotnym stosunku do widowni. Widownia znużona, otrzymuje ze sceny silniejsze „dawki" dramatyczne, co jest istotnie możliwe przez ustosunkowanie takie autora do widowni, jakie proponuje Wyspiański... pisaniem dramatu, od aktu ostatniego.

Wyspiański świadom był swej genjalności twórczej, z czem jednakże nigdy nie afiszował się, odnosząc się do swego otoczenia nadzwyczaj miło, uprzejmie. Z natury małomówny, umiał w razie potrzeby, być szczerym i wedle zwyczaju naszego ‚przepraszam, że będę szczerym", za szczerość nie przepraszał.

Już po „Weselu", gdy sława Wyspiańskiego rozeszła się szeroko po Polsce, zjawił się pewnego dnia w pracowni Wyspiańskiego ówczesny recenzent „Kurjera Warszawskiego" ś. p. Rabski. Rabski, potęga w tym czasie w sprawach teatralnych Warszawy uważał, że nie przystoi wielkiemu recenzentowi składać wizyty początkującemu, choć już głośnemu autorowi „Wesela". Widocznie, będąc w Krakowie, chciał Rabski poznać Wyspiańskiego, a że Wyspiański, w tym czasie chory, nie wychodził z domu (mieszkał na krańcach Krakowa, przy ul. Krowoderskiej), nie znalazł innej rady, jak odwiedzenia wielkiego poety w domu. A że Rabski uważał niezawodnie za dyshonor, szukania młodego autora na krańcach miasta, ułożył sobie następującą wymówkę. Gdy zjawił się u Wyspiańskiego (przesławszy przez sługę wizytówkę), oświadczył: „Mam przyjaciela w tym domu na drugiem piętrze (dom ten wówczas był jednopiętrowym. Wyspiański mieszkał na 1-szem piętrze), przechodząc, zauważyłem bilet pański, na drzwiach. Uważałem za stosowne nie ominięcia sposobności, aby tak młodemu, a dzisiaj już sławnemu poecie, złożyć wizytę". Wyspiański dotknięty, że Rabski nie uważał go za godnego, aby tylko jemu złożył Rabski wizytę, przytem uważając wymówkę z ‚przyjacielem" za pewnego rodzaju zniewagę, odpowiedział Rabskiemu z miejsca: „Może pan ma znajomego na parterze". Na tem skończyła się wymiana zdań i... Rabski wyszedł.

Gdy Józef Kotarbiński, był dyrektorem teatru krakowskiego, a premjera „Bolesława Śmiałego" była postanowiona, Kotarbiński zaproponował Wyspiańskiemu obsadę ról. Nieobsadzonym pozostał... Kotarbiński i Bolesław Śmiały. Kotarbiński, jakkolwiek znakomitość w swoim zawodzie, sławny był ze swej dystrakcji, a zwłaszcza z przejęzyczań, które to w prawdziwej, lub zmyślonej wersji szeroko krążyły wśród aktorów i ludzi blisko teatru stojących. Z tego powodu Wyspiański nie chciał powierzyć kreacji Bolesława Śmiałego Kotarbińskiemu. Wyspiański począł tłomaczyć Kotarbińskiemu, że pisał Bolesława Śmiałego z myślą o Sosnowskim i że Sosnowski powinien grać Bolesława Śmiałego. A kiedy i to tłomaczenie nie pomagało, Wyspiański radził Kotarbińskiemu, aby kreował Kupca Weneckiego. Wówczas zapytał Kotarbiński Wyspiańskiego: „Dlaczego uważa pan odpowiedniejszego dla mnie Szekspira, jak Wyspiańskiego"? Wyspiański odparł: „Szekspir umarł, to mu pan niemoże zaszkodzić, a ja żyję".

Do tak bądź co bądz twardej odpowiedzi, dał Kotarbiński, zapytaniem, które nasunęło Wyspiańskiemu być może słuszne przypuszczenie, że Kotarbiński uważa go za megalomana, który uważa się za większego twórcę jak Szekspir.

Gdy chodziło o sprawy przekonań idealistycznych tak w sprawach sztuki, jak i przekonań politycznych, czy narodowych, Wyspiański był niezłomnym, choćby chodziło o sprawy tak ważne, jak byt jego rodziny, jego dzieci, które kochał głęboko, miłością najlepszego ojca. Wyspiański był biedny, a na utrzymanie domu pracował ciężko. Zdarzyło się, że pewien zamożny obywatel z Warszawy, dzień poprzedni przesławszy poważną kwotę, wiedząc o tem, że Wyspiański

jest w ciężkiem położeniu materjalnem, zjawił się, aby pozować do portretu. Gdy po półgodzinnem gadaniu, w czasie której to półgodziny Wyspiański nie odezwał się, zniecierpliwiony obywatel zapytał: „Kiedy weźmiemy się do portretu"? Usłyszał odpowiedź: „Nie widzę nic ciekawego na pańskiej głowie, nie widzę więc powodu, aby ją malować. Oto pańskie pieniądze przesłane wczoraj, dziękuję". Obywatel ów zabrawszy pieniądze do dzisiaj nie rozumie zapewne (żyje jeszcze w Warszawie), dlaczego Wyspiański nie chciał go portretować.

Do recenzentów odnosił się nieufnie. Gdy przeglądniemy dzisiaj recenzje z tych czasów o Wyspiańskim, gdy przypomnimy sobie, że pierwsza wystawa jego obrazów została opluta (dosłownie) nie zdziwimy się, gdy po recenzji, o dekoracji „Domu Lekarzy" napisał list do jednego z recenzentów krakowskich pism treści następującej: „Nauczono papugę wyrazów o sztuce. Trzeba przyznać, że łatwość miała w tej nauce. Więc też styl moich krzeseł i lekarskiego domu, nazwała secesyjny krótko i bez sromu. Trzeba czekać cierpliwie aż po pewnym czasie, nowy wyraz papudze w umysł znów wbić da się... dalszych rymów niepamiętam, lecz treścią dalszą było stwierdzenie, że podobnie, jak w dekoracji „Domu Lekarskiego", będę chciał stworzyć nowy, swoisty styl polski, a papuga... znowu ochrzci moje wysiłki jednym, wyuczonym, wyrazem. Wyspiański nienawidził stylu wiedeńskiej secesji.

Doszło wreszcie do tego, że gdy wystawiano „Bolesława Śmiałego" Wyspiański tak się obwarował, aby przypadkiem nie wydano z kancelarji egzemplarza teatralnego, jakiemuś recenzentowi do przejrzenia, że kluczyk od biurka, w którym egzemplarz był zamknięty, oddano p. Lucynie Kotarbińskiej do przechowania, gdyż dobroduszny Józef Kotarbiński, wydawał się za miękim, aby mógł odmówić krytykom klucza od biurka. A gdy jeden z młodych krytyków (Jan Pietrzycki) zgłosił się do Wyspiańskiego z prośbą o pozwolenie przeglądnięcia egzemplarza, usłyszał kategoryczną odmowę: „Ja chcę aby mi pan napisał nie CO napisałem ale JAK a o tem dowie się pan na premjerze". Inna sprawa, że sprytny Pietrzycki wziął na premjerę stenografa i podał w recenzji autentyczne cytaty. Gdy okazało się jak podstępnie Pietrzycki wydobył autentyczne teksty, nie gniewał się Wyspiański na niego, owszem obdarzył go dużą sympatją.

Gdy po „Weselu", które iskrzy płomieniem, patrjatyzmu, pragnieniem budowy Polski, która jest „Wielką rzeczą" i którą można mieć, tylko: Oni nie chcą chcieć", słowem gdy po „Weselu" cała prasa w Polsce powinna była uderzyć na alarm, na ogół, prasa zachowała wstrzemięźliwość, a w „Nowej Reformie" wówczas organie krakowskim najpoczytniejszym, potraktowano „Wesele" jako sztukę modernistyczną niezrozumiałą, bez formy. Wyspiański doznaje zawodu. Dowodnie, widzi czarne na białem, że tak prostej sprawy, jak konieczności budowy tej „Wielkiej Rzeczy" nie rozumie nawet „sól narodu" którą winna być prasa.

Wyobraźmy sobie, co musiało się dziać w duszy wielkiego Twórcy, gdy wyczytał w recenzjach o zakończeniu „Wesela": „Rozlegają się skoczne dźwięki weselnego oberka i w jednej chwili pełen grozy, nastrojowy obraz, zmienia się w wesołą, barwą scenerję weselną. Ponurą wizją poety rozpryskuje się jak bańka mydlana, w pogodny obraz realnego życia".

A tymczasem... Piłsudski już organizuje kadry przyszłego Strzelca w Krakowie. „Złoty Róg" zgubiony przez Jaśka odnajduje Piłsudski, aby go silnie ująć w swe mocarne dłonie. „Pogodny obraz realnego życia", jakie chce widzieć recenzent „Nowej Reformy" w zakończeniu „Wesela", zmieni się wkrótce, w krwawą prawdę na polach Rarańczy, Mołotkowa. Jasiek - Piłsudski „Złotego Rogu" nie zgubi, nie Chochoł rozpocznie muzykę, ale armaty, a kos-karabinów nie wydrze nikt, nawet z stygnących rąk młodych żołnierzy Armji polskiej. Wyspiański poznaje Józefa Piłsudskiego, z entuzjazmem odnosi się do jego osoby. Genjalną intuicją wieszcza przeczuł Wyspiański, że on, Piłsudski, ucieleśni jego poetycki sen o Polsce państwowej, wyśnionej w „Wyzwoleniu". W „Wyzwoleniu" zabija Wyspiański Genjusza romantycznych mrzonek, w „Warszawiance" piętnuje nicość bohaterów, piszących w porfelach wojskowych poematy bohaterstwa. Wyspiański został olśniony poznaniem Piłsudskiego, który plan odbudowy Polski rozumiał realnie, jako czyn zbrojny i mimo zblazowanego ówcześnie otoczenia, lalek z „Wesela", które widziały „ćmy i pchły" a nie chciały zrozumieć co to są „my z cepem, kosą żelaziwem", wierzy w możliwość zbudzenia tego społeczeństwa, wierzy w Polskę, którą wywalczy żołnierz własny.

d. c. n. *Bolesław Raczyński.*

# KSIĄŻKA O BEETHOVENIE

Edouard Herriot, polityk i wielokrotny minister, napisał książkę o Beethovenie. Nie jest to pierwsza jego praca—wydał już wiele innych z różnych dziedzin. Widocznie fach parlamentarzysty nie zadawalnia jego ambicyj. Interesują go problemy filozoficzne, literackie i pierwszy raz pisze o muzyce. Niewątpliwie książka o Beethovenie będzie jednym z najlepszych jego dzieł — jest bowiem świetnie pomyślana.

My się wciąż zastanawiamy, kto ma prawo pisać o muzyce. Przeczytawszy książkę Herriota, życzyłbym wszystkim naszym fachowcom, którzy tak bronią swego wyłącznego prawa do zabierania głosu w kwestjach muzyki, żeby tak pisali o niej, jak dyletant Herriot.

„La musique est faite pour plaire aux ignorants comme aux savants" przytacza autor zdanie Voltaira z jego listu do markizy du Deffand, a potem cytuje trafne spostrzeżenia p. George Sand z jej „Lettres d'un voyageur" o muzyce i muzykach, mówiąc przytem że oto ta kobieta, która fałszywie śpiewała i na żadnym instrumencie nie grała „se fait de l'art une idée plus juste que les casuistes de la critique".

Herriot wykazuje niezwykłe zrozumienie muzyki Beethovena mówi o jego twórczości w sposób nowy, przytaczając nieznane szczegóły i oświetlając niektóre fakty w sposób odmienny od innych biografów.

Już na początku uważa podział twórczości Beethovena na trzy perjody, albo jak mówią na trzy maniery, za zupełnie fałszywy. Między wszystkiemi dziełami Beethovena, jak twierdzi jest pewna wewnętrzna łączność. Początek arji Florestana z „Fidelja" staje się

pierwszym tematem sonaty „Les Adieux". Uważa więc że słynna teorja Lenza o trzech stylach nie wytrzymuje krytyki.

W dalszym ciągu Herriot uważa, że aby zrozumieć twórczość Beethovena, trzeba nietylko mówić o wpływach muzycznych, ale także politycznych, literackich i filozoficznych.

Wspaniale opisuje Herriot pierwsze początki twórczości Beethovena, jego pobyt w Wiedniu, dając dokładny i nader plastyczny obraz stosunków politycznych i artystycznych. Przeprowadza piękną paralelę twórczości Glucka i Beethovena, mówi masę nowych rzeczy ciekawych na ten temat, wreszcie dociera do pierwszych kwartetów, wśród których wyróżnia ten, gdzie jest część z napisem „La Malinconia". Z punktu przytacza zdanie Rousseau'a z „Héloïse": „O melancolie enchanteresse". Twierdzi że finał tego kwartetu jest starszym bratem „lento" z 16 kwartetu. Przytacza dalej zdanie malarza Delacroix z jego „Questions sur le beau": „on sent déja respirer cette melancolie qui parfois trahissent un feu interieuer" i ten właśnie ogień wewnętrzny znajduje Herriot w 46 taktach „Malinconia" i całej twórczości tego perjodu.

Autor stara się spokrewnić Beethovena z Rousseau i z romantykami, a głównie z Novalisem. Mówi o tem przy omawianiu t. zw. testamentu z Heiligenstadt i dwóch sonat quasi una fantasia. Twierdzi, że „Hymny do nocy" są najlepszym komentarzem do tych dwóch sonat. Bradzo pięknie mówi Herriot o trzeciej symfonji. Ponieważ, jak twierdzi, Beethoven pozostawił nam prawo domyślania się, komu poświęcony jest marsz żałobny, więc Herriot jest zdania, że prawdopodobnie miał Beethoven na myśli poetę Klopstokca, którego uważał za swego duchowego mistrza.

Z dokładnością wielką, popartą licznemi dokumentami opisuje dzieje „Fideljа", a potem po przez opisy w 7 i 8 symfonji, t. zn. dziejów ich powstania i znaczenia doprowadza Herriot do momentu najwyższego powodzenia Beethovena, kiedy staje się on nieomal muzykiem oficjalnym. Są to już czasy kongresu Wiedeńskiego i Beethoven cieszy niezwykłą popularnością.

W dwóch rozdziałach Herriot daje doskonałą charakterystykę Beethovena jako człowieka. Wreszcie dociera do czasów najintensywniejszej twórczości, kiedy powstaje 9 symfonja, Missa Solemnis, i ostatnie kwartety. Miarą znawstwa Herriota, może służyć ocena 33 warjacyj na temat walca Djabelliego. Pisze o nich ze zrozumieniem i trafnością rzadko spotykaną przytaczając szczegół ciekawy, że za to wielkie arcydzieło Beethoven otrzymał 24 dukaty.

Opierając się na dziele Józefa de Marliave, który specjalnie poświęcił się studjom nad kwartetami Bethovena i zginął podczas wojny od kuli niemieckiej, Herriot kończy swoje studjum opisem powstania ostatnich kwartetów.

Na zakończenie Herriot wymienia tych wszystkich, którzy się przyczynili w ten lub inny sposób do rozpowszechnienia dzieł mistrza. Więc w pierwszej linji pisze o Berliozie, Liście i Wagnerze. Dalej wymienia tych francuzów którzy pisali o Beethovenie. Byli to literaci: Sand, Lamennais i Balzac oraz malarz Delacroix.

Książka Herriota jest wspaniałą biografją, pozbawioną wszelkiego doktrynerstwa, którego tak pełno w dziele Romain Rollanda o Beethovenie i wszelkiego pedantyzmu, fałszywej powagi oraz podejrzanej wartości filozofji, w której znowu tak dużo w najwięcej chwalonej, a bardzo nieprzyjemnej biografji Bekkera.

Napisana bez żadnego pedantyzmu, w sposób niesłychanie wytworny, barwny, stanowi książka Herriota typ najsympatyczniejszy opowieści o życiu i dziełach Beethovena. A swoją śmiałością porównań, szerokością poglądów, wyróżnia się pośród wszystkich znanych nam dzieł o mistrzu z Bonn.

*St. Z.*

# POLONIKA ZAGRANICZNE

## *Przekłady angielskie.*

W Ameryce, w stanie Michigan zaczęła wychodzić kolekcja dzieł z zakresu literatury polskiej, którą zainicjowano przekładem „Mazepy" Słowackiego.

Tłumaczenia prozą dokonała Cecylja Dołęga - Wells wraz ze swym mężem, Carlton F. Wellsem; wstępem zaopatrzył ten dramat profesor A. Mitana, lektor literatury polskiej w uniwersytecie w Michigan.

Jako następny tom tego cyklu polskiego ma wyjść „Warszawianka" Wyspiańskiego.

* * *

W Ameryce oprócz Trylogji i „Quo Vadis', które są już dawniej tłumaczone, wyszła obecnie powieść „W pustyni i puszczy" nakładem firmy Brown i S-ka w Bostonie. Książka, nazwana przez krytkę amerykańską „wspaniałą opowieścią", ilustrowana jest przez Remingtona Schuylera.

* * *

## *„Pan Tadeusz" po fińsku.*

W przekładzie polonisty fińskiego, dra Trasta, ucznia profesora Mikkolasa, ukazał się przekład fiński „Pana Tadeusza".

* * *

## *Przekłady dzieł Reymonta.*

Nowe, ozdobne wydanie „Chłopów" Władysława Reymonta wyszło obecnie w dwóch tomach nakładem znanej firmy wydawniczej, Eugen Diederichs w Jenie. Jest to już dziewiętnasty tysiąc tej poczytnej polskiej epopeji chłopskiej.

* * *

„Slovenska Matica" w Lublanie wydała zapowiadany już od dawna przekład „Chłopów" Reymonta pod tytułem: „Kmetje". Ukazał się na razie pierwszy tom: „Jesen" w przekładzie słoweńskim Jožy Glonara.

Natomiast po węgiersku wyszła już całość w czterech tomach w przekładzie Jana Tomcsanyi, wybitnego działacza węgierskiego na polu zbliżenia polsko - węgierskiego w dziedzinie kultury.

Jan Tomcsanyi tłumaczył dotychczas Sienkiewicza: „Szkice węglem", nowele Reymonta, Daniłow-

skiego i Kaden - Bandrowskiego. Obecnie zaś dokonał największego dzieła przekładając obszerną opowieść chłopską Reymonta w całości. Dotychczas wszystkie cztery tomy są tłumaczone na język niemiecki, angielski, francuski i szwedzki.

Tłumacz węgierski posłużył się podobnie jak przeważna ilość tłumaczy „Chłopów" językiem literackim, oddając jednak doskonale nastrój i cechy wsi polskiej, którą Tomcsanyi zwiedzał przyglądając się zbliska jej życiu, zwyczajom i obyczajom.

* * *

*Włosi o K. Wierzyńskim.*

W miesięczniku włoskim „Le Vie dell' Oriente" z maja znajduje się obok artykułu politycznego o Polsce w związku z tworzeniem „Małej Ententy", ozdobiony licznemi fotografjami z Polski, artykuł Henryka Damianiego o poezjach Kazimierza Wierzyńskiego.

Damiani, najlepszy włoski znawca współczesnej literatury polskiej, analizuje w obszernym artykule walory twórczości autora pięknego tomu poezyj: „Wiosna i wino" poświęcając jednak najwięcej uwagi „Laurowi olimpijskiemu" z którego przytacza liczne wyjątki zapowiadając przy sposobności swój przekład „Lauru", który się ma ukazać nakładem firmy weneckiej: La Nuova Italia".

Damiani nazywa Wierzyńskiego jednym z najsympatyczniejszych poetów współczesnych, którego poezja jest lotem hiperbolicznym na skrzydłach płodnej fantazji. *fr. s.*

# Z ŻYCIA KULTURALNEGO WŁOCH

*Dzieło o renesansie włoskim.*

Młody uczony, Cione wydał w Neapolu dzieło o Renesansie, w którem autor wprowadza odmienny od przyjętego powszechnie podział epoki i wielce oryginalne teorje, dotyczące poszczególnych postaci z dziedziny literatury i sztuki.

W dziele swem zajmuje się Cione najwybitniejszymi przedstawicielami Renesansu: od Machiavelli'ego do Guicciardini'ego, od Benvenuto Cellini'ego do Michała Anioła, od Tiziana do Rafaela, starają się obalić panujące, stare i utarte pojęcia.

* * *

*Federico de Roberto: „L'Imperio".*

Nakładem wielkiej firmy medjolańskiej, A. Mondadori wyszła obecnie powieść zmarłego przed dwoma laty powieściopisarza sycylijskiego, Federico de Roberto, autora popularnej powieści: „Viceré". Świeżo wydana powieść pod tytułem: „L'Impero" jest raczej materjałem do powieści, który autor byłby niezawodnie dopiero opracował, chcąc dać w niej obraz Rzymu z lat osiemdziesiątych i początki jego polityki parlamentarnej.

*Paolo Veronese.*

Ugo Ojetti, znany włoski krytyk literacki i głęboki znawca sztuki, redaktor założonego przed niedawnym czasem we Florencji miesięcznika literackiego: „Pegaso" wydał niedużą monografję, poświęconą życiu i dziełom sławnego malarza, Paolo Caliari, zwanego Veronese od miasta Verony, gdzie przebywał długie lata i gdzie ukształtował się właściwie jego talent artystyczny i malarski.

Ugo Ojetti odmalował z talentem subtelnego esseisty postać świetnego malarza rzucając ją na tło epoki, w której działał Veronese, przedewszystkiem na tło walk kościoła katolickiego z herezją luterańską.

# ODPOWIEDZI
## „GŁOSU PRAWDY" LITERACKIEGO

**Szecherezada:** Przeczytaliśmy pańskie wiersze uczciwie od początku do końca. Radzimy z całym spokojem, z głębokiem przeświadczeniem, iż o ile rady naszej Pan usłucha, to wyświadczymy Panu dobrodziejstwo: Nie pisać wierszy. Wogóle nie pisać poezji. Może już nawet więcej nie próbować. Nie znaleźliśmy ani odrobiny talentu. Tak, tak piszemy to Panu z całkowitym spokojem.

**Judym, Kraków:** Oczywiście, wiersze te pójdą, nie ma co do tego żadnej kwestji. Żałujemy, że przestał Pan uprawiać publicystykę literacką. W tej dziedzinie (co nie przeszkadza poezjom) mamy wrażenie, że miał Pan niejedno do powiedzenia.

**M. Kurc...:** Cieszy nas, że czytuje Pan stale nasze dodatki, martwi nas jednak szczerze, że pisze Pan tak słabe wiersze. Mało powiedzieć! słabe! Bardzo złe!! Czy istotnie odczuwa Pan tak silny i potężny mus, tak gwałtowną potrzebę pisania? Czy nie mógłby Pan opanować tej namiętności? Oznak talentu w strofkach pańskich nie dostrzegliśmy żadnych.

**Edwin Her...:** Przeczytaliśmy pańskie wiersze z prawdziwym smutkiem. Żałosna maniera, sztuczność, poza. Jeżeli koniecznie chce Pan pisać poezje, to radzimy pisać o jakichś rzeczach prostych t. zw. „własnemi słowami". Po co układa Pan te sztuczne a tak pospolite „zderzenia" wrażeniowe!

**Władysław Was...:** Przeczytaliśmy i nowele i wiersz. O wierszu nie mówmy nie jest to przecież wcale poezja. Z nowel najlepsza jest „Ciotka". Uważamy jednak, że zbyt skwapliwie daje się Pani unieść płytkiej łatwości obserwacyj. Ostatecznie łatwość ta przeradza się w gadatliwą, choć nie pozbawioną zręczności manierę. Jeżeli myśli Pani o szutce pisarskiej to przedewszystkiem tę miłą, rzekomo dowcipną manierę należy wypalić ogniem i żelazem. Zmienić też koniecznie stosunek do ludzi i zjawisk. Zaprzestać błahych żartów a pogłębić patrzenie i odczuwanie ludzi, ich uczuć i ich spraw.

**W., ul. Hoża:** Wiersz bez żadnej wartości, czyż nie wstyd tak wielką ideę i tak potężnego człowieka opiewać tak lichemi rymami?!

**Enes:** Uznaje Pan i rozróżnia, — spoconą głowę słońca od niespoconej? Żądze nagie od ubranych? Wygarnia Pan parę węgielków spojrzeń. Ręca wtula Pan w serce, jak w ciepłodajny garnek'". Zazdrościmy Panu tych wszystkich możliwości. Żart na bok, — jakże można pisać takie potworności!

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *TADEUSZ HIŻ.*

Drukarnia Artystyczna, Nowy-Świat 47. Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.